

QUILLER COUCH.

## SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

28)

To mówiąc, odwiązała linę, wydobyła leżące na spodzie łodzi wiosła, usiadła na ławce naprzeciw mnie i zaczęła wiosłować śmiało i żwawo. Zdziwiła mnie jej niezwykła siła i zręczność. Musiała to wyczytać na mojej twarzy, bo rzekła:

— Widzę, że patrzysz na mnie z podziwem. Przypomnij sobie, że byłam żoną marynarza, a gdybym sił nie miała, jakżebyś zdołała wydobyć cię z wody?

— W jaki sposób uczyniłaś to pani?

— Obecnie, już sama niedość dobrze pamiętam, tak byłam wzruszoną. Gdy oczekiwałam w łódce pańskiej na tyle statku, posłyszałam pluśnięcie rozstępującej się fali pod wrzuconym ciężarem; wnet też z największym pośpiechem opłynęłam szoner. W pierwszej chwili nic nie dostrzegłam, było bowiem jeszcze bardzo ciemno, lecz zaczęłam się modlić gorąco, prosząc Boga o uratowanie cię od śmierci, ty jeden bowiem możesz ukarać tego człowieka za wszystko złe, jakie popełnił... No, i wtedy ujrzałam ciało twoje po części zanurzone w wodzie, po części zawieszzone na łańcuchu kotwicznym. Silnym uderzeniem wiosła wepchnęłam łódź pod łańcuch i pochwyciłam cię za włosy. Złożywszy jak mogłam najostrożniej na spodzie łodzi, wróciłam nagle... lecz powtarzam, że w tej chwili, nie mam już pojęcia, jak mi się to udało.

— Czy on widział panią?

— Nie, sam bowiem pragnął opuścić szoner jak najspieszniej. Wiosłowałam pod osłoną cieni, rzucanych na wodę przez holownik, do którego byliśmy uciepili, słyszałam jednak jak mnie wołał. W czasie rozmowy z panem zapomniał o mnie widocznie, lecz potem musiał sobie przypomnieć, bo nie oddał mi pieniędzy. Po chwili, zauważyłam, że schodzi po drabinie do swojej łodzi i płynnie następnie w stronę wybrzeża. Przesunął się koło nas tak blisko, że o uszy moje obłyły się przekleństwa, które mrucząc, mijał na mnie. Położyłam się jak długa na dnie łódki, aby mnie nie spostrzegł. Dość, że nie zatrzymując się minął nas i ujrzałam, jak przybił do brzegu tam, naprzeciwko, przy schodkach. Na szczęście padał wówczas śnieg gęsty, który go osłepił i przeszkodził mu nas widzieć.

Poruszyła kilkakrotnie wiosłami w milczeniu ze zdwojoną szybkością, poczem mówiła dalej:

— Gdy pozostawaliście w kajucie, podsłuchiwałam. Zdaje mi się, że w pewnej chwili omdleć musiałam, lecz zemdleńie moje nie trwało długo, bo ocuciłam się, gdy mówiliście o Johnie Railton...

Przypomniłam sobie szelest za ścianką drewnianą, dolatujący co czas pewien do moich uszu, więc prawie mimowoli zapytałam:

— Czy słyszała pani, co mówił o...?

— O Klarze? Tak, słyszałam.

Potrząsnęła tylko głową, lecz w oczach jej, które spotkały się z moimi, zabłyśnięcie ognia, w którym ból nadzwyczajny łączył się z nienawiścią bez granic. Polyskiem tym, tak niezwykłym u tej dobrej i pełnej słodyczy kobiety, uczułam się poruszony do głębi.

W tej chwili właśnie łódka przybiła do zrujnowanych schodków, wiodących na murywane wybrzeże. Były one porośnięte mchem aż po sam poziom wody, na mchu zaś leżał teraz świeży śnieg.

— Tędy przeszedł — szepnęła. — Goń za nim, goń! I nie oszczędź mu choćby najsrońszych cierpień, gdy konać będzie!

Głuchy i chwilowo ochrypli jej głos, dyszał nieskończoną nienawiścią.

— Zaczekaj! — rzekła. — Czy masz pieniądze?

Przypomniłam sobie nagle, że wszystko, co miałam, oddałam Bagnellowi, za wyciągnięcie łodzi z szopy, więc jej to powiedziałam. Równocześnie także przyszło mi na myśl, że pozostawiłam w łódce pudełko cynowe, a w niem nóż, którym Railton przeszył serce mego ojca. Sięgnąłem zatem po nie i ukryłem na piersiach pod mokrą koszulą.

— Oto pieniądze — powiedziała, wyciągając do mnie rękę. — Są to właśnie te, które jemu dać miałam. Masz w nich pięćdziesiąt funtów szterlingów w banknotach. Weź wszystkie.

Zawahałem się chwilę.

— Lecz jakże się pani bez nich obejdzie?

— Nie kłopotuj się o mnie. Weź, weź wszy-

stkie! Na co mi teraz pieniądze?... Zwłaszcza, jeśli go zabijesz!

Pochyliłem się i ucałowałem jej zimną jak lód rękę. Na twarzy pani Luttrell malował się tenże sam, co przed chwilą, groźny wyraz.

— Zabij go! zabij koniecznie! — rzekła z niezwykłą u niej siłą głosu, lecz zarazem i z wielką prostotą.

Wdrapałem się nie bez zmęczenia na schodki.

Już był jasny dzień, a wschodni kraniec widnokręgu zalewała szeroka fala purpurowej barwy. Wiatr, dmący teraz silniej niż na rzece, przenikał na wskrós moją zredukowaną do minimum mokrą odzież i mroził mnie do szpiku kości. Nad Tamizą wznosiła się ciężka i gęsta mgła, z pośród której strzelały w górę maszty statków jak olbrzymie jakieś widma. Zadymka śnieżna ostre, krystalicznymi płatkami siekła mi twarz zbolalą.

W ten sposób witała mnie wigilia Bożego Narodzenia!

Doszedłszy do szczytu schodów, obejrzałem się za siebie.

Ona siedziała jeszcze w łodzi i wyteżonym wzrokiem patrzyła na mnie. Poruszyła ręką na pożegnanie i usłyszałem, jak jej głos ochrypli wołał:

— Zabij go! zabij! zabij!

Znalazłem się na placu, zapełnionym stosami opałowego drzewa, belkami, łatami i szczątkami przeróżnych rupieci, przysutymi warstwą śniegu. Stąd znowu kilka kamiennych stopni wiodło do na wpół spruchniałej bramy, za którą widać już było ulicę. Zatrzymałem się tu na moment, zastanawiając się, co mi teraz uczynić wypada.

O tak wczesnej porze nie widać było w około żywej duszy, a przecież potrzebowałem koniecznie i to jak najprędzej zmienić odzież, miałem bowiem na sobie tylko podarte, mokre spodnie i zbrukaną mokrą koszulę.

Doszedłem do ulicy.

Bose moje nogi złożyły pierwsze ślady na świeżym śniegu. Czyż pierwsze? Nie. Przyjrawszy się pilniej, ujrzałem inne ślady, już nieco tu i ówdzie przysypane śniegiem, a wyciśnięte także w kierunku ulicy. Musiały to być ślady nóg Szymona Collivera. Blisko sto metrów postępowałem tym tropem pod murami domów, wzdłuż nieotwartych jeszcze wystaw sklepowych.

Nagle ślady zwróciły się ku drzwiom jednego z kramów, a następnie — o ile dojrzeć mogłem — zdawały się oddalać znowu w głąb miasta. Sklepik był zamknięty. Wisiały nad nim trzy gałki mosiężne, pokryte białymi czapkami ze śniegu. Okiennice, również jak i drzwi były zasunięte, lecz przez szpary dostrzegłem światło, przebijające się z kramu na zewnątrz. Zapukałem.

Po chwili drzwi się rozwarły.

Ukazała się w nich postać brodatego człowieka, o nieprzyjemnej twarzy, z zaczerwienionymi białkami oczu. Spostrzegłszy mnie, zdawał się być zaniepokojony moim widokiem, bo krzyknął chrapliwym głosem:

— Czego chcesz?

— Kupić ubranie — odparłem. — Widzisz pan, wpadłem do wody.

Jak to z fizjonomii i akcentu odgadnąć było łatwo, lichwiarz ów, pożyczający biednej klasie na zastawy, mrucząc coś pod nosem, wprowadził mnie do sklepu, poczem zamknął drzwi za nami ostrożnie.

Kram był brudną dziurą, zapełnioną od góry do dołu mnóstwem przeróżnych przedmiotów, w pośród których nie brakło i łachmanów żebraczych. Świeczka łożowa, paląca się w mosiężnym lichtarzu, stojącym na czerniałej od wilgoci półce, rzucała migotliwe światło na krzeselka, taburety, zegary ściennie, zegarki kieszonkowe, wazon, laski, srebro stołowe, fajansowe naczynia i długi szereg męskich i żeńskich ubiorów, wiszących na kołkach. Gdy wszedłem, spojrzała na mnie jedynym swym szklanym okiem wypchana papuga, a potracony przez właściciela kramu chińczyk porcelanowy, siedzący ze skulonymi nogami na porcelanowej poduszce, wyciągnął na powitanie gościa długi czerwony język i pochylił grzecznie przedemną głowę.

Lecz nie to wszystko zwróciło na siebie moją uwagę, tylko własny mój zegarek, leżący na ladzie sklepowej.

— Skąd to masz? — zapytałem.

— Przysięgam panu — odparł zalekziony lichwiarz — że ten zegarek dostał się tu w najniewinniejszy sposób. Kupiłem go od pewnego gentelmana, który tylko co stąd wyszedł, a zastawić nie chciał. Byłem głęboko przekonany, że należy do niego, więc jeśli pan jesteś z policyi, to spodziewam się, że...

— Powoli, powoli, mój przyjacielu — odpowiedziałem — nie należę do policyi, nie potrzebujesz

zatem mnie się obawiać. Lecz zegarek ten jest moją własnością. Jeśli nie wierzysz, to powiem ci numer, wyryty na kopercie...

Posunął ku mnie zegarek, ciągle jeszcze drżący cały ze strachu.

— Ach! ach! ja panu całem sercem wierzę. Nie chciałbym za nic w świecie...

— Proszę mi powiedzieć, ile za niego dałeś?

Zawahał się momentem, lecz chęć zysku przemogła w nim obawę.

— Piętnaście funtów! Nie chciał wziąć ani jednego penny mniej. Dałem mu więc, proszę pana, piętnaście funtów sterlingów w złocie. Przysięgam... jak tu żywym stoję... że mu dałem piętnaście funtów!

Zbyt dobrze rozumiałem, że kłamie. Pomimo to jednak, wyjąłem z cynowego pudełka trzy banknoty po pięć funtów i położyłem na stole, zegarek zaś zabrałem. Co uczyniwszy, rzekłem:

— A teraz sprzedasz mi całe ubranie i dopomożesz do ucharakteryzowania się, bo inaczej...

— Niech mnie pan tylko nie straszy! Przysięgam, że będę bardzo szczęśliwy, jeśli dopomogę do pochwylenia złodzieja. Niech pan sobie wybierze ubiór, jaki się spodoba. Mam przeważnie odzież marynarską, lecz jeśli zechcesz, znajdzie się i co innego. Co zaś do charakteryzacji, możesz być pewnym, że cię tak ucharakteryzuję, jak żaden aktor. a nawet żaden agent policyjny nie potrafi lepiej!

— Jak dawno wyszedł człowiek, który ci sprzedał mój zegarek?

— Moiej więcej pół godziny przed pańskim przybyciem. Pan jednak musi dobrze wiedzieć dokąd się on udał, więc i przyłapać go będzie panu łatwot... Ja zaś, przysięgam, że za dwadzieścia minut tak łaskawego pana odmienię, że i rodzona matka nie pozna pana.

Wistocie, kilkanaście minut potem wyszedłem ze sklepu przebrany i ucharakteryzowany do niepoznania. Wybrałem strój, jaki noszą majstrowie w dnie świąteczne. Błada twarz moja czerwieniła się teraz jak cegła, a na policzkach i pod dolną wargą jeżyła się broda, którejby się nie powstydział żaden wilk morski.

Śnieg padał ciągle, więc pokrył zupełnie ślady stóp Collivera. Wiedziałem jednak, że musi udać się na dworzec kolei żelaznej w Paddington, więc i ja zwróciłem kroki moje w tym kierunku, pędząc jak mogłem najprędzej.

Miałem dość czasu, aby dojść do dworca przed dziewiątą, jednakże żwawy mój chód sprawił, że uczułem się naraz silniejszym i zdrowszym. Członki mojego ciała, rozgrzane szybkim ruchem, odzyskały dawną sprężystość, rana na głowie, istotnie powierzchowna, a teraz przykryta peruką, pod dobroczynnym wpływem chleba z pajęczyną, zasklepiała się widocznie, a zdarta powrozami skóra na ramionach i nogach nie sprawiała mi już najmniejszego bólu.

„Dziś wieczór! dziś wieczór!” powtarzałem szepem, pogrążony w smutnych myślach. Poczem przypomniły mi się upominające mnie wyrazy matki Klary: „Zabij go! zabij!” Nienawisć jednak bywa potężną siłą moralną! Czy dodatnią? Wątpię... wątpię bardzo...

Wyszedłszy na Oxford Street, kroczyłem jeszcze żwawiej.

Nagle fiakr jakiś przejechał szybko koło mnie. Toczył się po zabłoconym i zaśnieżonym bruku tak cicho, że spostrzegłem go dopiero, gdy już niemal na mnie najeżdżał. Godzina była za wczesna na zwykły kurs dorożkarski, więc odwróciłem się, żeby obejrzeć konia i powóz. Minął mnie jak błyskawica, lecz jedna sekunda wystarczyła mi do spostrzeżenia w nim pary oczu, które mnie zapewniły, że tym razem trudzę się nie na próżno, należały bowiem do Szymona Collivera.

Więc spotkałem go nareszcie, i to na Oxford Street, kędy go tak długo szukałem bez powodzenia i skutku.

Był także bardzo udatnie przebrany i najniezawodniej ucharakteryzowany temiż samymi co i ja rękami. Dla przeciętnego widza, mógł doskonale uchodzić za podróżującego handlowca, lecz dla mnie, żaden kunszt lub fortel nie mógł mu odmienić oczu dyabelskich, po których poznałem go natychmiast.

Minutę, lub dwie serce niezmiernie mocno kołotało mi w łonie, palce skurczyły się i zdrętwiały, szczęki zacisnęły i zgrzytnęły, lecz w moment potem uspokoiłem się i podążyłem do celu tym samym, co poprzednio, krokiem. Obecnie mogłem czekać.

Przed dojściem do Paddington spotkałem tegoż samego fiakra. Wracał pusty. Widocznie Colliver wysiadł przed dworcem.

Chociaż to była wczesna godzina, peron zapełnił się już publicznością, wyjeżdżającą na wieś, albo